TYGODNIOWY PRZEGLĄD LITERACKI KOŁA PISARZY Z POLSKI

Rok II. Nr.37./45/ 151 East 67 Street,New York,N.Y. 10.IX. 1942.

Wrześniowe dni.

Dni wrześniowe płyną dziś wolno i spokojnie - o wiele wolniej i spokojniej niż trzy lata temu, gdy każdy ranek przynosił nadzieję a każdy wieczór rozpacz i zwątpienie. Może właśnie dlatego, że dni tamtego września przemknęły nad nami w tak błyskawicznym tempie, zachwiały naszą równowagę duchową serią brutalnych wstrząsów i uderzeń, zamgliły obraz całości falą indywidualnych przeżyć i dramatów - nie stać nas dzisiaj na chłodną, bezstronną analizę wypadków i obiektywną ocenę ówczesnej naszej rzeczywistości. Zapominamy o rzeczy najważniejszej: że kampania wrześniowa była przedewszystkiem spotkaniem dwóch armii, działaniem strategicznem, pierwszym heroicznym aktem największej z wojen świata i że - mówiąc o niej, rozpatrując zagadnienie winy i odpowiedzialności historycznej za największą z naszych klęsk - należy operować w pierwszym rzędzie kryteriami wojskowemi. Cyfrą i faktem, proporcją możliwości i analizą ustawicznie zmiennych sytuacji strategicznych.

Plan rozwinięcia z roku 1939 przewidywał w Polsce wystawienie 30 dywizji piechoty, 9 dywizji piechoty rezerwy, 2 brygad piechoty, 11 brygad kawalerii i 2 brygad zmotoryzowanych /w tem 1 w stanie organizacji/.

Na dzień 1 września 1939 r. było gotowych 14 dywizji piechoty, 2 dywizje piechoty rezerwy, 2 brygady piechoty, 6 brygad kawalerii i 1 brygada zmotoryzowana. W transportach do armii znajdowało się 5 dywizji piechoty i 3 brygady kawalerii, zaś w transportach do odwodu Naczelnego Wodza 7 dywizji piechoty, 2 dywizje piechoty rezerwy i 1 brygada kawalerii.

W toku mobilizacji znajdowały się 2 dywizje piechoty, 2 dywizje piechoty rezerwy i 1 brygada piechoty. Do odwodu Naczelnego Wodza w pierwszym terminie gotowości 2 dywizje piechoty, zaś w późniejszym terminie gotowości 3 dywizje piechoty rezerwy i 1 brygada zmotoryzowana. Z tego 2 dyw. rezerwowe piechoty nie mogły zakończyć swej mobilizacji.

Tak więc ogółem w walce wzięło udział w różnych okresach ze strony polskiej: 30 dywizji piechoty, 7 dywizji piechoty rezerwy, 4 brygady piechoty, 11 brygad kawalerii oraz 2 brygady zmotoryzowane.

Jakkolwiek Niemcy w swych opracowaniach podają, że do uderzenia

na Polskę użyli jedynie 38-39 dywizji piechoty, to faktycznie w dniu 1 września 1939 r.zostało zidentyfikowanych z ich strony 47 dywizji piechoty, 11-15 dywizji pancerno-motorowych oraz 1 brygada kawalerii. W toku działań wojennych Niemcy zmuszone były do użycia dalszych sił, gdyż w dniu 14 sierpnia zidentyfikowano już po ich stronie 59 dywizji piechoty, 16 dywizji pancerno-motorowych i 1 brygadę kawalerii.

Siły powietrzne Niemiec w dniu 1 września 1939 r. składały się z 6-u dywizji liniowych, 1 dywizji desantowej, 1 dywizji spadochronowej i kilku grup na wybrzeżu oraz zachodnim odcinku frontu. Razem w pierwszej linii Niemcy rozporządzały około 3.500 samolotami, ponadto w rezerwie miały 1.200 samolotów. Ogółem więc Niemcy dysponowali ilością 4.700 samolotów pierwszej linii.

Siły powietrzne Polski w dniu 1 września 1939 r. wynosiły 377 samolotów, w tym znajdowało się: 4 eskadry "Łosi", 5 eskadr "Karasi"/bombowce lekkie/, 8 eskadr "Karasi" do rozpoznania i lekkiego bombardowania, 15 eskadr myśliwców typu P.11 i 9 eskadr "Czapli" lub R.XIII do rozpoznania. W wymienionej liczbie samolotów 96 aparatów stanowiło t.zw.lotnictwo współpracy, a ilość zdolnych do walki wynosiła około 280 samolotów bojowych.

Z porównania sił polskich i niemieckich w momencie pierwszego starcia wynika, że Niemcy miały nad Polską mniej więcej trzykrotną przewagę w piechocie, trzydziestopięciokrotną w broni pancernej oraz prawie szesnastokrotną w lotnictwie; dodać przytem należy, że przewaga uzbrojenia niemieckiej dywizji nad polską była z reguły trzykrotna, zaś ogniowa dochodziła,zależnie od przydziału innych formacji,do sześciokrotnej.

Z cyfr tych wynika, że Niemcy zmuszone były rzucić na Polskę prawie wszystkie siły stojące w dyspozycji bojowej dla zdławienia jej oporu Świadczy o tem fakt, że w tym samym czasie Niemcy na froncie zachodnim wystawili jedynie 11 dyw. piechoty, 2 dyw. wojsk fortecznych oraz parę rezerwowych dywizji piechoty i Landwehry.

Do sił nieprzyjacielskich, z którymi Polska miała walczyć,dodać należy po dniu 16 września siły zbrojne rosyjskie. Armia sowiecka, która okupowała Polskę, wynosiła w dniu 7 września 30 dyw. piechoty, 12 zmechanizowanych brygad oraz 10 wielkich jednostek kawalerii, nie licząc dużej ilości samolotów.

Analizując przebieg kampanii wojennej - należy sobie uprzytomnić, że polski plan rozwinięcia armii miał charakter czysto obronny: utrzymanie i związanie możliwie największych sił nieprzyjacielskich do czasu, gdy alianci na Zachodzie będą zdolni wkroczyć swymi siłami do wojny. Względy natury ogólnej i politycznej, głównie nadzieje aliantów pokojowego załatwienia konfliktu - przyczyniły się do odwleczenia mobilizacji i opóźniły koncentrację polskich sił zbrojnych.

Sytuacja strategiczna Polski była niekorzystna. Granice z Niemcami rozciągały się na przestrzeni około 2.800 km /włączając w to Wolne Miasto Gdańsk/, flankując Polskę głęboko od północy od strony Prus Wsch. i od południa ze strony Słowacji. Atak niemiecki zaskoczył i zdezorganizował mobilizację i koncentrację wojsk polskich. Zaledwie połowa armii znajdowała się w stanie koncentracji. Stan sił polskich, na które wyszło pierwsze uderzenie, wynosił 14 dyw.piechoty, 2 dyw.piechoty rezerwy, 3 brygady piechoty, 6 brygad kawalerii i 1 brygada zmotoryzowana. Reszta wojsk znajdowała się w trakcie mobilizacji i koncentracji. Skutek był ten,że główne siły polskie weszły do akcji zbyt późno,względnie z niepełnemi stanami. Potężne uderzenie niemieckie na Łódz i Częstochowę ze Śląska niemieckiego, Mławę od strony Prus Wsch. i Chabówkę-Jordanów od strony Słowacji, rozstrzygnęło w pierwszym boju. W dniach 3 i 4 września

przeważające siły nieprzyjacielskie, złożone m.in. z 6 dywizji pancerno-motorowych, przełamały linię obrony polskiej w rejonie Częstochowy i posuwały się szybko w samo serce kraju w kierunku na Warszawę i środkową Wisłę. Przeciwuderzenie polskiej armii, znajdującej się w odwodzie w rejonie Piotrkowa, nie dało oczekiwanego wyniku. Armia polska na Pomorzu, zaatakowana od Zachodu, musiała cofać się stopniowo na przyczółek Bydgoszcz i rzekę Brdę. Podobna sytuacja wytworzyła się na północnym odcinku frontu, gdzie natarcie niemieckie szło w kierunku na Mławę-Pułtusk, na południowem skrzydle w rejonie Rybnika na Pszczynę oraz Chabówkę-Jordanów.

Wobec takiej sytuacji na froncie wydany został 3 września rozkaz przegrupowania wojsk na linię Narew-Wisła i Nida-Dunajec. Armia poznańska i pomorska, które zdołały osiągnąć linię Warty jezior inowrocławskich i Brdy, cofały się bez nacisku wojsk niemieckich, posuwających się w kierunku na Warszawę i Wisłę. Dnia 8 września nastąpiło uzupełnienie decyzji przez nakazanie odwrotu północnego skrzydła na linię Bug-Wisła, przez organizację obrony Warszawy i linii Wisły oraz przez zgodę na uderzenie armii Poznań i Pomorze z rejonu Kutno-Sochaczew, co miało umożliwić stworzenie frontu obronnego na Sanie. Dalsze jednak uderzenie niemieckich kolumn pancernych od północy sforsowało rzekę Bug a od południa przedarło się przez linię Dunajca i Białej, zmierzając na San, zanim wojska polskie zdołały zająć nowe pozycje. Wspomniany plan nie został na skutek tego wykonany.

Dnia 10 września wyszedł rozkaz do obrony na linii Polesie,Brześć Wieprz,Wisła i San. Zorganizowanie linii oporu na tym odcinku znowu uprzedziło sforsowanie przez Niemców rzeki San. Kolejny rozkaz z dnia 11 września zarządził odejście wojsk na Wyżynę Lubelską,rzeki Dniestr i Stryj. utworzenie ośrodków obrony Warszawa, Modlin, Brześć i Polesie oraz kontynuowanie uderzenia armii Poznań i Pomorze na Łódź i Radom. Rozkaz ten spowodował związanie prawie 2/3 sił niemieckich w Polsce.

Rozkaz z dnia 13 września nakazał utworzenie przyczółka mostowego na rzekach Dniestr i Stryj oraz dalszych ośrodków obronnych: Lwów, Przemyśl i Tarnopol. W oparciu o granicę rumuńską, zabezpieczającą tyły, zamierzano wytrzymać napór nieprzyjaciela, zanim w międzyczasie nie rozpocznie się ofensywa wojsk alianckich na Zachodzie. Warszawa, Modlin, Lwów oraz walki armii Pomorze i Poznań miały kontynuować obronę i wiązać siły nieprzyjaciela. Przeciwnatarcie armii gen.Sosnkowskiego,przeprowadzone 16 września pod Gródkiem Jagiellońskim, zostało uwieńczone sukcesem lecz nie mogło wpłynąć na sytuację operacyjną na południowym froncie wojny. Dnia 17 września o świcie weszło w granice Polski 9 armii sowieckich, które zadecydowały o wyniku kampanii.

Mimo to armia polska walczyła, Warszawa broniła się bohatersko do dnia 28 września, Modlin do 30 września a obrona Westerplatte, Gdyni i Helu służyć będzie po wszystkie czasy jako przykład bezgranicznego męstwa i poświęcenia. Lwów bronił się do 28 września. Siły polskie, które przedostały się do rejonu Zamość-Tomaszów Lubelski, walczyły do 27 września,usiłując w dalszym ciągu iść na południe. Resztki polskiej armii walczyły jeszcze 2 października. Wreszcie ostatnie większe ugrupowania walczyły pod Kockiem aż do dnia 5 października,zadając nieprzyjacielowi ciężkie straty. Walki partyzanckie trwały jeszcze miesiącami.

Tyle cyfry i fakty. Wystarczą,by na konferencji pokojowej wykazać nietylko wyczerpanie wszelkich możliwości strategicznych przez żołnierza polskiego ale i prawo narodu do wszystkich ziem,na których znajdują się mogiły tego żołnierza i ruiny domu,przed którymwalczył i padł.

Jerzy Tepa

L a t o   P r u s z a .

Był mocny, tęgi, wesoły, kochał życie i umiał żyć. A przytem był czuły i dobry i nadewszystko przez uczniów ulubiony - nasz Profesor z Warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych - Grubasem lub Pruszem zwany. Wszystko, co o nim powiedzieć można to to, że był niezwykły, do nikogo nie podobny, że choć trudno się tego było domyślić patrząc na twarz zbyt okrągłą, na całą postać żywą, w butach wysokich, w kurtce skórzanej, rzemieniem ściągniętej, w kapeluszu "sombrero" - mieszkała w nim dusza najbardziej artystyczna, pełna poezji, wrażliwa i marząca. Był on jednym z niewielu ludzi na ziemi, którzy umieli swe marzenia realizować, którzy żyli tak jak chcieli, ciesząc się bez miary każdym dniem i każdym swoim dobrym uczynkiem, sypiąc na prawo i lewo okruchami talentu - talentu,który też był tylko jednym z wielu środków służącym ku ozdabianiu życia.

Przez Ciebie, Gruby Profesorze, patrzyliśmy inaczej na świat,nauczyłeś nas kochać sztukę - i pogodzić się z życiem... A wszystko co Ciebie otaczało było dziwne jak w wierszu, czy piosence...

Malował od dziecka. Jako szesnastoletni chłopak tworzy najlepszy swój obraz, zostaje nagrodzony i wchodzi odrazu do historii polskiej sztuki jako mistrz śmiałych, szkicowych pociągnięć, a potem łzawych oczu - portretów swej ślicznej żony. W trzydziestym roku swego życia zostaje profesorem Warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych, a później Rektorem Akademii w Warszawie. Jego pierwsze zetknięcie się z uczniami wzbudziło obustronny zapał. Prusz z właściwym mu entuzjazmem bez reszty oddaje się uczniom, pragnie w nich widzieć odrodzenie dawnych mistrzów. I chociaż świata w owej epoce poza swoją pracownią nie widzi, nie może to trwać długo. Nie odsuwa się od swych uczniów, kocha ich nadal, wychowuje i żyje z nimi, ale czas znajduje i na inne sprawy. Opanowują go po kolei różne pasje, gdzie wyładować może swoją chęć walki z przeciwnościami. A więc sporty, zawody zapaśnicze, czegoż on nie robił w okresie swych przejściowych manii, śpiewał, strzelał z łuku, a wreszcie ogarnęła go pasja motorów, samochodów, pędu przed siebie bez pamięci.

Rozkosznie wyrzuca odziedziczony po bracie majątek i wszystkie zarobione malarstwem pieniądze. Sam nakręca film własnego pomysłu z życia malarzy /cóż to była za uciecha to kręcenie!/. Uczy się potem na lotnika, kupuje ostatni model angielskiej awionety i lata ponad chmurami - szczęśliwy!

"Wszystko, na co patrzymy tam z góry, wydaje się takie małe,ludzkie, nieważne" - mówi z przekonaniem.

Rozkochane w nim uczenice - też próbują latać, wszyscy chłopcy i dziewczęta biegną na zieloną łąkę patrzeć jak Grubas startuje, a kiedy lądował na piachu na środku Wisły, samolot jego zdawał się nam być najpiękniejszym ptakiem. Nad Wisłą... Spędzaliśmy tam razem z nim każde lato. Lato szczęśliwe, lato Grubasa, lato naszego Prusza, życie jedyne w swoim rodzaju, przez niego stworzone.

Nad Wisłą - tam gdzie jest ona bardzo szeroka, rozlewna, łach piaszczystych pełna - znajduje się małe miasteczko, a właściwie tylko rynek, otoczony szeregiem bardzo starych, charakterystycznych i pięknych domów. Z dwuch zaś stron obejmują mieścinę wzgórza lesiste, najśliczniejsze, zielona wieś, ulubiona. W kępach zieleni kościoły renesansowe,klasztor, dołem wąwozy, w wąwozach - malarze. Gdzie okiem obrócić - malarze. Siedzą na kamiennych schodach kościelnych obok sławnego modela, ślepca Kozdronia, żebraka w brązowej siermiędze z aureolą słomianego kapelusza na plecach, - pełno ich między ruderami domów i na polu i w lesie, . :

oparli stalugi o potężny pień, gdzie niegdyś król Kazimierz sądy odprawiał i na którym widnieje tabliczka: "Dąb ten prastary jest własnością narodu." Wszędzie ich pełno. Nie ma dla malarzy nic świętego, a wszystko jest święte. Kazimierz nad Wisłą - tak się zwała ta mieścina - letnisko, którą malarze od lat z górą kilkudziesięciu wzięli całkowicie w posiadanie. Lipiec w wąwozie, lato malarzy tak często opisywane, wymalowane, znane. Pisano o Kazimierzu i o nas malarzach, cośmy tam mieszkali, niejedną opowieść i niejedną powieść. A nas mgła otaczała, tuman odgradzający życie, za którym znajdował się nam tylko znany świat. Byliśmy o niego zazdrośni, ale rozrzucaliśmy jego wdzięki pełnemi garściami dookoła. Dlatego może Kazimierz był tak pociągający i lubiany. Bo nasz świat zamykał się wśród domków zapadłych ze starości, gdzie światło łamało się na popękanych murach historycznych, gdzie wzgórza ozdobione były zamkami dawnej chwały, a w wodzie lśniły odbicia śpichlerzów królewskich. Rok rocznie jeździła do Kazimierza najweselsza hałastra pod słońcem - Warszawska Szkoła Sztuk Pięknych, jeździła w ślad za Profesorem Grubasem, żeby nigdy tego nie zapomnieć, żeby zawsze to wspominać...

Bo nasz Kazimierz to - szczęście, młodość, wolność. Malowali tam Baciarelli, Matejko, Gierymscy, Wyczółkowski... Ale dopiero nasza szkoła profesorowie Skoczylas i ukochany "Grubas" stworzyli z Kazimierza tę cygańską najzupełniej miejscowość, wychowali pokolenia, które w Kazimierzu na zawsze młodość swą zostawili. Za nami przywędrowali dopiero artyści innych zawodów, literaci i na końcu letnicy. Choć Kazimierz stał się "modny" dla nas jednak został poza rzeczywistością uznaną, był w naszych sercach, które zawisły między niebem i ziemią na kolorach liści, na wieczornej wodzie Wiślanej. Nie uznawaliśmy w Kazimierzu żadnej literatury, byliśmy sami jak słońce, woda, powietrze poranka, żyliśmy karmieni barwami i kształtem - w tem była nasza istota. Jedyną tragedią stawał się brak talentu - jedyną nadzieją - nadzieja tworzenia, przyglądanie się twórczości Boga, a religią - bezmierny dla Niego podziw. To też ruina domu, tak samo jak nędza ludzka, były nieustannym darem Boskim, niewyczerpaną skarbnicą piękna. Zdaje mi się, że byliśmy fatalistami nie wiedząc nawet o tem, ale przyjmowaliśmy los jako dar z góry zawsze najszczęśliwszy i szczodry. To już Sienkiewicz mówił o malarzach jako o najweselszym gatunku na ziemi. I rzeczywiście tak było. Zakasać rękawy, pracować cały dzień chwytać na płaskim płótnie wyobrażenie niedosięgłe trzeciego wymiaru i tylko w tej pracy szukać istotnych wartości wszystkiego. "Nie święci garnki lepią! Malujcie, malujcie!" - mówił gruby profesor.

Zdawało się, że już tak zawsze będzie, do końca już życia: młodość - starość, kilka malarskich pokoleń w Kazimierzu. Że najprzód mały, jeden z Kazimierskich ciekawych typów, okropnie wygadany, a potem stary Chaimek czy Szulim czy "Abramek sławny cycerone", będzie nas do łez rozśmieszał. Był to łańcuch kolorowy, wesoły, bujnych godzin. Tak w tych kolorach byliśmy głęboko zagrzebani, tak bardzo było to naszą treścią codzienną, że przez malarskie spojrzenie na świat zdawaliśmy się rozumieć wszystko: zło i dobro, miłość i nienawiść, nawet śmierć. Dzień rozkładał się na zimne i ciepłe barwy cieni, na szmaragdy, cynobry, weroneze... deszcz nas nie imał, nie dosięgał, nie moczył, patrzyliśmy na niego jak na zjawisko darowane, które dla nas tylko wymalowało niebo w stalowe smugi. W czerwcu jakoś siadało się na statek czy pociąg ze wszystkimi gratami, blejtramami, żeby wylądować na środku rynku, między gromadę ucieszonych Żydków, którzy na wyrywki nosili nam rzeczy, targowali mieszkanie, napychali słomą sienniki. Ktoś rzuca kamykami, grudkami ziemi w okna: wstawaj, już czas! To koledzy idą drogą na plain'air. Plain'air - wspólna nauka malarstwa na łączce wśród chłodu poranka, z modelem w zieleni.

A potem każdy już sam się męczy,chodzi po wzgórzach,szuka tematu,mruży oczy...Jakżeż lgną wszystkie myśli na wygnańczej tułaczce do tego lata pachnącego liśćmi i ziemią i terpentyną i farbami...Samotne aż do zmroku wycieczki z kasetą,przewieszoną przez ramię. Łódka "na pych",piasek wiślany,wikliny...

Co wieczór zebranie u Grubasa. Siedzieliśmy tak,w profesorskim domu, z początku w izbie,ubranej kłosami zboża,w chusty i zapaski,wyburzałe od słońca, w mgiełki Biedermeier'owskich firanek, w świece,zwiędłe od upału,zwisające z mosiężnych świeczników, we wstążki,fujarki,róże białe i pnące bukietami całymi, wstęgi szaro-różowo-niebieskie,spadające na nuty piosenek Beranger'a - domu ślicznej żony,wystrojonej na codzień w szumiące krynoliny,całej jak ze starej powieści,co sama zdawała się być uśmiechniętym, swoim własnym portretem. Później,siadywaliśmy w surowej sali kamiennego pałacu,który sobie Profesor,za sprzedany obraz,sam na Górze Zamkowej zbudował. Siadaliśmy wokół niego,słuchając najmilszej na świecie gawędy,czasem w ogrodzie na trawie,wśród jaśminu i śnieżnych floksów /żaden kwiat na ziemi nie odbija tak olśniewająco księżycowego światła,jak floksy/. Jesienią siedzieliśmy przy ognisku,zasłuchani,szczęśliwi,oderwani od wszystkiego,co nie było nami. Jak dziwnie jest, zajadając pieczone w ognisku kartofle,patrząc na srebrną wieczorem Wisłę,rozprawiać fachowo o Tycjanie i Michale-Aniele...

Wspomnienie wspólnego Kazimierza łączy nas wszystkich,rozbiegłych po świecie, jak żołnierzy -wspólne okopy. Miasteczko białych kóz w ruinach,bóżnic rozmodlonych,sobotnich świec w okienkach,jarmarków,odpustów i kwiatków,zwanych "panny młode". Staliśmy wieczorem,jesienią,na górze Trzech Krzyży,skąd widać było kościół,oświetlony październikowem nabożeństwem,jakiś chór nam śpiewał z bardzo daleka,a miasteczko pachniało dymem,pieczonym chlebem,Wisłą.Miasteczko z nieprawdziwego zdarzenia - z Dickensa i Dybuka zarazem...

Chadzaliśmy często między opłotkami,podpatrując wieczorem przez okna życie szarych ludzi,stukot warsztatu szewca,kłótnie w aptece,śpiew szwaczek,egzotyzm żydowski. W dosycie jesieni,jakże czysto brzmiały stare Kochanowskiego,rozpatetyzowane dzwony u fary!

Wyjazd z Kazimierza przeciągał się aż po pierwsze przymrozki listopada,kiedy to wzgórza wypełniał po wierzchołki czerwony berberys,a z sadów nadrzecznych szła woń suszonych w dymie śliwek. Z chlupoczącego błota wyrwało się profesorskie auto - na łąkę, na lotnisko. Wśród ram, pakunków,klatek z gołębiami,między psem Cezarem,a kotem Hipolitem i kogutem,co się nazywał Makbet, powiewają pożegnalne chusteczki w rękach pięknej pani. Mimo rąk trzeźwych na kierownicy i lotniczej kurtki profesora - tłukło się mgławe wrażenie,że to stara kareta kolebie się zwolna i że,jak na niemodnym obrazku,las grabowy osypuje ich złotymi liśćmi, a na stopniach z tyłu przysiadł faun... Widzę ich tak zawsze,jak odjeżdżają...

Tamtej wielkiej szczęśliwości żadnym snem koszmarnym nie sięgaliśmy tragicznych przeczuć - nigdy,chwytając o zachodzie opale na wodzie wiślanej,nie ogarniał nas lęk. Jakże okropna ta ludzka niewiedza wobec przeznaczeń! Wojna zdawała się być czemś tak niepojęcie dalekiem dla sadu,pełnego owoców,dla trawy wonnej,tak bujnej owego września,kazimierskiej trawy - zoranej później bombami. Że na Rynku niemieccy żołnierze, że w rzeźbionej,patrycjuszowskiej kamienicy odbywały się straszne egzekucje na nieszczęsnych mieszkańcach,a renesansowy Sw.Krzysztof przykryty jest swastyką - nie,tego nie można sobie wyobrazić! Ogłoszono w niemieckich gazetach,że Kazimierz zamieniony jest na prusackie uzdrowisko,że burzą stare domy,że oczyszczają miasteczko z - czaru.

Tego roku,trzeciego lata wojny,pojechali tam malarze,stanęli bezradni na Rynku,na obcym Rynku. I był podobno z nimi Profesor... Kochane Kazimierskie lato,jakżeś smutne!

Notatka w pismach brzmi sucho... Tadeusz Pruszkowski,artysta-malarz,profesor i rektor Warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych został w sierpniu tego roku przez Niemców rozstrzelany.

x x x

Ani lata twojego,Kazimierskiego - lata szczęścia - ani Ciebie, co umiałeś żyć,jak w wierszu lub piosence, Pruszu! nie zobaczymy Cię już nigdy!

Niechaj odpoczywa w pokoju.

Irena Lorentowicz

Ideały młodzieży?... Jakie i po czyjej stronie?

Wszystkim znana jest treść mowy,którą wygłosił Prezydent Roosevelt do młodzieży. Powtarzana przez liczne stacje radiowe,przełożona na szereg języków,słuchana była ta mowa przez cały świat. Włącznie do Niemców. Gorączkowy pośpiech, z jakim odpowiedzieli oni - tego samego dnia!- na słowa Roosevelta tłomaczyć można jedynie obawą Berlina,że utkwią one za głęboko w sercach i umysłach każdej młodzieży,oraz chęcią zatarcia wrażenia,które mowa ta wywrzeć musiała na wszystkich słuchaczach. Jak mocno zaś wystąpienie Prezydenta dopiekło Niemcom do żywego, o tem świadczy styl ich odpowiedzi,którego rażąca wulgarność nie mogła ujść uwagi ludzi,nawet już oswojonych z "feldfeblowskim" językiem propagandy nazistowskiej. Wymundurowany i wymustrowany organizm państwowy Trzeciej Rzeszy funkcjonuje przy pomocy sztabu "fuehrer'ów" o ściśle wyznaczonych im przez nad-fuehrer'a Hitlera kompetencjach odcinkowych. W myśl tej zasady Baldur von Schirach,urzędujący jako "fuehrer" niemieckiej młodzieży, odkomenderowany został do rozprawienia się z Rooseveltem.

Baldur von Schirach,otrzymawszy rozkaz,stuknął obcasami,wyciągnął rękę,warknął:"Heil Hitler!" i począł spontanicznie zwierzać się speaker'owi berlińskiego radia z uczuć,jakie wzbudziły w nim słowa Prezydenta. Ciekawe reakcje tej karykatury całego reżimu "Fuehrer'owskiego" zasługują na choćby pobieżne ich rozpatrzenie.

Baldur von Schirach'a oburza powiedzenie Roosevelta,że Hitler może zaofiarować młodzieży jedno tylko - śmierć. Pomijając ordynarne wyzwiska i obelgi - nieuniknione akcesoria retoryczne każdego oburzenia nazistowskiego - bezstronnie przyznać trzeba,że protest sam przez się jest uzasadniony. Oczywiście z tem zastrzeżeniem,że Prezydent nie ma racji dla innych powodów aniżeli te,które przytacza berlińska propaganda. Pójście za przewodem Hitlera oznacza nietylko pójście na niechybną śmierć -pójście za przewodem Hitlera oznacza również możność zaspokojenia najniższych instynktów,instynktów,na przestrzeni tylu stuleci tak starannie pielęgnowanych w umysłach i sercach niemieckich, instynktów,które od Atylli do Hitlera wypisały krwawemi zgłoskami najstraszliwsze i najbardziej ponure karty historii,instynktów bestii ludzkiej,podniesionych przez wodzów nazistowskich do poziomu najwyższych cnót narodowych,najszczytniejszych ideałów niemieckich,najistotniejszych dostojeństw germańskiego "Herrenvolk'u". Pójście za przewodem Hitlera oznacza zaspokojenie tych instynktów,zakrojone na skalę wszechświatowych gwałtów,mordów, grabieży. I dlatego właśnie Hitler rzeczywiście jest Fuehrer'em Niemców.

W przeciwnym bowiem razie czyż mogłoby 80 milionów ludzi - a z tych 8 milionów uzbrojonych żołnierzy - przypatrywać się bezczynnie najpotworniejszym,najohydniejszym zbrodniom,najcyniczniejszym kradzieżom,systematycznie i planowo popełnianym w ciągu trzech lat przez kilkadziesiąt tysięcy gestapowskich hitlerowców?! A zresztą,czemuż obłudnie zrzucać wszystką winę na Himmlera i jego SS-owców! - czyż to ich dziełem było nikczemne zburzenie Warszawy,Rotterdamu,Belgradu,nie licząc barbarzyńskich nalotów na stare katedry i zabytki sztuki angielskiej?! A obozy jeńców wojennych,a "polowe" domy publiczne,a wojskowe ekspedycje karne, a bataliony przymusowej pracy,a wygładzanie okupowanych krajów...-a ta cała koszmarna rzeczywistość Europy pod jarzmem zorganizowanego bandytyzmu,wyrafinowanych tortur,masowych egzekucji?... Któż ma ponosić odpowiedzialność za ten przerażająco długi rejestr przerażająco dzikich zbrodni?! Nie jutrzejsi zwycięzcy armii Hitlera lecz dzisiejsze ofiary jego ideologii powinny mieć prawo faktycznego wyrokowania w sprawie tej odpowiedzialności.

Powiedzenie,że Hitler śmierć tylko zaofiarować może niemieckiej młodzieży nie stanowi - w pojęciu Baldur von Schirach'a - jedynego przestępstwa Roosevelta:karygodnym jest w ogóle już sam fakt,że Prezydent Stanów Zjednoczonych ośmiela się udzielać jakichkolwiek nauk moralnych młodzieży europejskiej. Departamentalny "fuehrer'ek" przechodzi do ataku: najmniej uprawnionym do roli kaznodziei chyba jest głowa państwa,którego młodzież wykazuje brak wszelkiej kultury,wyższych celów życiowych,młodzież całkowicie zdeprawowana gangsteryzmem,panoszącym się w literaturze i filmie,młodzież kraju,tak skandalicznie lekceważącego zagadnienia wychowania i obyczajności przyszłych pokoleń swoich... Jak wyglądają te ciężkie zarzuty propagandy hitlerowskiej,przełożone na język obiektywnej rzeczywistości a zwłaszcza zestawione z hasłami nazistowskiej doktryny, wprowadzonemi w czyn?

Istotnie,kina amerykańskie wyświetlają masę "policyjnych" filmów, istotnie,na przedstawieniach tych zawsze pełno jest młodzieży i nawet małych dzieci; istotnie,może to wydać się niezbyt wskazanem,ale...Ale pan Baldur von Schirach nie mówi o tem,że przysłowiowy "happy end" każdego filmu takiego jest bezwzględnym zwycięstwem dobra nad złem,i że cała sympatja młodocianej publiczności znajduje się po stronie detektywa, zwalczającego bandytę. Przemilcza pan Baldur von Schirach również i to, że jednocześnie pokazywane są w niemieckich kinach rozmaite "Chrzesty Ognia" - realistyczne filmy wojenne,gloryfikujące najstraszliwsze naloty na bezbronne miasta,najokrutniejsze mordy masowe starców,kobiet,dzieci; pokazywane są nieopisanie tragiczne sceny barbarzyńskich zniszczeń,mające być dla młodzieży niemieckiej najwyższym wzorem patriotycznego bohaterstwa.

Ameryka,ofiarowująca katedry swoich uniwersytetów europejskim, zmuszonym uciekać przed bezlitosnemi prześladowaniami nazistowskiemi; Ameryka,udzielająca gościny literatom i artystom europejskim,zagrożonym niechybną śmiercią z rąk hitlerowskich katów; Ameryka,publikująca dzieła pisarzy europejskich,znajdujących się na indeksie współczesnych Niemiec; ta właśnie Ameryka jest ojczyzną młodzieży,którą pan Baldur von Schirach odsadza od wszelkiej kultury.Ale taki pan Baldur von Schirach szczyci się niemieckimi "kulturtraeger'ami",którzy torturują uczonych europejskich w obozach koncentracyjnych,którzy rozstrzeliwują,jako zakładników, księży,literatów,artystów europejskich,którzy systematycznie ograbiają kościoły,muzea,biblioteki,laboratoria wszystkich krajów okupowanych.

"Szczęśliwy jestem,żem wstąpił do wojska,gdyż,jeśli zginę,to wiem,że umrę,walcząc za najwznioślejsze ideały całej ludzkości" -pisze

do swoich rodziców 24-o letni pilot,jeden z tych setek tysięcy i milionów Amerykanów,którym pan Baldur von Schirach zarzuca brak wyższych celów życiowych. "Jeżeli zginę,to zabraniam umieszczenia jakichkolwiek aluzji religijnych w pośmiertnej wzmiance,zginę bowiem jedynie dla sprawy nacjonal-socjalistycznych Niemiec mojego Fuehrer'a.Moja żona niechaj wówczas wyjdzie jaknajspieszniej powtórnie zamąż,by móc dostarczyć krajowi nowych żołnierzy.Jeżeli dziecko,które ma ona wkrótce urodzić,będzie córka,to cały majątek mój zapisuję na cele nacjonal-socjalizmu"- taki testament młodego oficera niemieckiego publikuje "Das Schwarze Korps",jako przykład dla każdego prawdziwego patrioty.

Pan Baldur von Schirach słusznie zaprotestował przeciw odmawianiu młodzieży niemieckiej posiadania ideałów.Jakżeż straszliwym byłby los całej ludzkości,gdyby te właśnie ideały niemieckiej młodzieży zostały kiedykolwiek wprowadzone w czyn! Tej prawdy świadoma jest młodzież, do której przemawiał Prezydent Roosevelt i która słuchała jego mądrych a natchnionych słów z najgłębszą czcią.

Zygmunt St.Klingsland

Time bomb. Powieść.
Ciąg dalszy.

Asystent śmiał się razem z wszystkimi,odpowiedział jednak poważnie, że nawet tak zmienione środowisko nie zmieni dojrzałego człowieka.Można przenieść kogoś z środka Londynu na najpiękniejszą wyspę Pacyfiku,a to nic nie pomoże.Wszystkie bodźce zewnętrzne będą inne - inne niebo,drzewa, ptaki,inni ludzie nawet - możnaby więc przypuszczać,że gdy nie będzie dawnych bodźców,dawne odruchy zanikną. Jednak nie zanikną,bo dawne zostaną.Człowiek niesie je z sobą.Są to słowa.Słowa wywołują odruchy tak samo silne jak bodźce świata zewnętrznego - pieszczoty,kije czy noże.Wyraz "matka" jest takim samym bodźcem jak widok matki.W tym leży potęga słowa. Człowiek niesie je z sobą wszędzie,a z nim swój cały świat odruchów.Dlatego to biały wśród czarnych,czy żółtych czy czerwonych został zawsze tym samym białym,który wyjechał z Europy.

-To znaczy,że on zawsze już musi zostać taki,jak wyleciał z Niemiec?

-Mogą państwo zmienić dokoła niego wszystko,nawet powietrze w jego pokoju zabarwić kadzidłem na niebiesko,żeby mu kościół przypominało a nie Niemcy,a jednak zostanie w nim dawne słowo "Luft",które będzie dawnym bodźcem,I jako odruch zjawi się słowo "Luftwaffe",które znowu wywoła hasło "każdy niemiecki chłopak lotnikiem",to znowu ożywi jakieś chłopięce pragnienia latania,wspomnienia szkoły lotniczej,jakiegoś odznaczenia przed frontem,słowem - ożyją w nim całe Niemcy z pamięcią dawnych zwycięstw,obrazami wspaniałego bombardowania Warszawy i gotowością do nowych wyczynów wojennych.

Asystent mówił powoli i bardzo wyraźnie,a słowo "Warszawa" powiedział - niewiadomo dlaczego - po polsku. Wanda poczuła nagle dziwny skurcz koło serca. Potem przestała słuchać i zamyśliła się. Przypomniało się jej bezbronne miasto a na niebie setki samolotów,prażących bombami płonące ruiny,potem - niemiecki patrol,idący miarowym krokiem przez ulice zawalone gruzami,i długie szeregi wynędzniałych ludzi przed pustymi sklepami. Zauważyła,że oddecha ciężko i pieką ją policzki. Teraz mogłaby naprawdę zabić tego Niemca! Słowa są rzeczywiście bodźcami - pomyślała.-Ma rację ten asystent.Dlatego powiedział po polsku "Warszawa". Angielskie "Warsaw" nie wywołałoby w niej tego. Spojrzała na niego.Mówił dalej,ale zauważyła,że obserwuje ją.Usłyszała jak kończył.

-Każde słowo w języku ojczystym to tysiące impulsów,to cały świat,

który człowiek przeżył i niesie z sobą.

-Więc odebrać mu ten język!

-Wyciąć? -ucieszył się profesor.-Nareszcie coś dla mnie.Zaraz weźmiemy go na operacyjną.

Wanda musiała go zatrzymać prawie przemocą.

-Ja nie żartuję,tylko mówię,żeby nikt nie wypowiedział z nim ani słowa po niemiecku,to on sam będzie musiał po angielsku!

Weber i Mrs Karfunkel przyrzekli,ale asystent był wciąż nieprzejednany.

-To nie pomoże.Będzie myślał po niemiecku.

-Jakto "myślał po niemiecku"? Co to znaczy?

-Niemieckiemi słowami.

-To człowiek myśli słowami?

Asystent był zachwycony żywością i obszarem jej zainteresowań,więc odpowiedział dokładniej.

-Oczywiście.Myśl nie jest jakąś metafizyką,tylko zwykłym mówieniem bez głosu.Dziecko myśli jeszcze głośno.Ludzie prości poruszają ustami, kiedy myślą,a głuchoniemi robią znaki palcami.

Na wszystko bestia ma odpowiedź - pomyślała Wanda,ale jeszcze nie dała za wygraną.

-Więc trzeba nauczyć go myśleć po angielsku! Jak pomyśli "air" a nie "Luft",to nie przyjdzie mu do głowy ta "Luftwaffe" i to wszystko!

-Gdyby zmiana języka wystarczyła,psychopatologię zastąpiłyby szkoły Berlitza - odpowiedział asystent,ale po cichu pomyślał,że ta dziewczyna swoim dziecinnym rozumowaniem dochodziła do tych samych środków,które behavioryzm stosuje w leczeniu młodych psychopatów. Tworzy się dla nich nowe sformułowania słowne,żeby stare straciły swoją władzę i nie wywoływały dawnych odruchów.

-Pani rzuciła tu pomysł bardzo ciekawego doświadczenia,nawet bardzo ponętnego,ale ręczę za jego ujemny wynik- zakończył.

-Więc absolutnie niema sposobu na takiego?

Odpowiedział raczej na pocieszenie niż z przekonaniem.

-Może jakiś wstrząs zasadniczy...Jakaś katastrofa żywiołowa jak trzęsienie ziemi...

-A buch z tysiąc metra na głowę to za mały wstrząs?

-Za mały,żeby zniszczyć nawyki wytworzone długą tresurą - odpowiedział z uśmiechem,ale kategorycznie. Wobec tego profesor uznał,że temat jest wyczerpany i wstał,a za nim posłusznie cały jego sztab -asystent, Weber i Miss Violet.

Mimo że na dworze było spokojnie,ucichło nawet brzęczenie samolotów między chorymi zapanował nastrój ponury. I co z tego,że Lady Fair zrobiła się muzykalna? Choćby dyrygowała całą orkiestrą,co z tego? Nie czas bawić się w cyrk,gdy tu w środku Europy powstaje poganizm,bałwochwalstwo i niewolnictwo,a właściwie zwykły bandytyzm,jak mówią ludzie realniejsi. Laicy często przeceniają siłę nauki i darzą ją entuzjazmem większym niż uczeni,gdy jednak zawiodą się,przychodzi krytycyzm niespotykany u uczonych.

/Dalszy ciąg nastąpi/

Antoni Cwojdziński

Sprostowanie.

W wierszu Józefa Wittlina pod tyt.:"Na Dzień Żydowstwa polskiego" ogłoszonym w poprzednim numerze, znajduje się pomyłka,którą niniejszem prostujemy: trzynasty z kolei wiersz powinien brzmieć:

"Gdzie jesteś łaski krynico,co zmywasz grzechy żywota?"